Anne McCaffrey

Wolność rasy

(Freedom of the Race)

Science-Fiction Plus, October 1953
Ilustracje: Peter Poulton
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Bóle porodowe stawały się coraz silniejsze. Pojawił się u niej ostrożny lekarz marsjański, który pobieżnie ją przebadał. Z oddali usłyszała jego rozmowę z marsjańską pielęgniarką, która odpowiadała za jej stan zdrowia. Pomimo że Jean rozumiała po marsjańsku, jej umysł zarejestrował prowadzoną dyskusję jedynie w mglisty sposób, ponieważ dziwna, ćmiąca amnezja zbliżającego się porodu, przytępiała odbiór wszelkich bodźców.

Kolejny spazm przeszył jej łono. Oddychała głęboko, powoli, tak jak ją uczono, napinając mięśnie brzucha, tak by dać łonu więcej miejsca. Całą swoją energię koncentrowała na oddychaniu i odprężaniu, ale słowa lekarza z wolna dotarły w końcu do jej umysłu.

– Takie zdrowe zwierzę, będzie doskonałym egzemplarzem rozpłodowym. Pokładam w niej olbrzymie nadzieje, że tym razem wszystko będzie w absolutnym porządku. Jeżeli rzeczywiście tak się stanie, będę nakłaniał komisarza na ponowne jej użycie. To, co prawda, jest sprzeczne z naszą polityką, ale jesteśmy naprawdę zdesperowani.

– A więc – pomyślała sobie Jean, w stanie częściowego odrętwienia, – właśnie to stało się z dziewczynami, które nigdy nie wróciły już do Centrum. Umarły, zapewniając życie tym wielorakim miotom potworów. Nigdy już nie wypuszczono ich na wolność. Viny miała rację, a my nie chciałyśmy jej uwierzyć. Ona także pewnie musiała już umrzeć.

Marsjańska pielęgniarka ponownie kazała się jej przewrócić się na plecy i Jean poczuła zimny metal fetuskopu na swoim obrzmiałym brzuchu. Bez specjalnego sukcesu próbowała głęboko oddychać, ponieważ schwycił ją kolejny skurcz, tak więc jedyne czego pragnęła, to przewrócić się z powrotem na bok. Ale jej pragnienia zupełnie się tu nie liczyły… była po prostu tylko zwierzęcym inkubatorem. Przy tym porodzie nie będzie narkotycznego znieczulenia. Zbyt duże było zagrożenie uduszeniem się marsjańskiego noworodka, którego płuca, bezpośrednio po urodzeniu, były szczególnie delikatne.

– O, genialni zdobywcy – pomyślała. – Przybyliście na naszą piękną, zieloną Ziemię, ze swojej wysuszonej do ostatnich granic planety. Zakończyliście nasze nieistotne spory narodowe, zniewalając nas. Wszystkie zniewagi i konsekwencje niewolnictwa, zwaliły się na głowę każdemu z nas. A wszystkie one bledną i stają się banalne, na tle waszego koronnego, psychologicznego ciosu. Czynicie nas ciężarnymi, każąc nam nosić, nawet nie pół krwi mieszańce, do których moglibyśmy stopniowo coraz bardziej się przywiązywać, ale własne potomstwo, którego delikatne marsjańskie kobiety, nie są w stanie urodzić na naszej przesączonej tlenem Ziemi. Czy może istnieć jeszcze większa zniewaga?

Jak bardzo ona i inne dziewczęta modliły się o niepowodzenie implantacji, snuły spiski w celu poronienia, pozbycia się płodu w jakiś

niewidoczny sposób, nawet pomimo grążącej im kary powolnego spalenia! Jean doskonale pamiętała tego rodzaju egzekucję, której była świadkiem dwa lata temu, kiedy miała szesnaście lat. Trwało to przez kilka godzin, pełnych męczarni i krzyku, zanim ta dziewczyna została pożarta przez skradający się, pełzający, palący organizm.



W pobliżu stali marsjańscy rodzice rosnącego w niej płodu.

Bóle zwalały się na nią, jeden po drugim, pozostawiając jej tylko krótkie, ale jakże cenne, okresy czasu pomiędzy nimi. Dawały odpoczynek –– odpoczynek oznaczający dla niej przetrwanie. Nie mogło być już daleko do chwili wejścia w drugą fazę porodu, pomyślała z nadzieją. Jej współtowarzyszki, klacze rozpłodowe, mówiły, że wtedy już jest lepiej –– ci Marsjanie byli tacy mali, że wychodzili łatwo.

To było jeszcze przed powodzeniem eksperymentu z wielorakimi ciążami.

Rzadkie przypadki ciąż wielorakich u Marsjan, zawsze kończyły się śmiercią płodów… dopóki eksperyment transplantacji łożyska z bliźniakami do terrańskiego łona, nie zakończył się udanymi narodzinami bliźniaków. Po tym, rozpoczęła się prawdziwa mania. Przy niewielkiej pomocy nauki, terrańskie dziewczyny zaczęły niechętnie rodzić bliźniaki, trojaczki, pięcioraczki, dowolnej wybranej płci.

Otoczona tymi niewesołymi wspomnieniami, Jean poczuła nieodparte pragnienie, aby zacząć przeć i odpowiedziała na nie automatycznie. Usłyszała wokół siebie nagłą krzątaninę, podniecone szorstkie rozkazy od marsjańskiej pielęgniarki, która od czterech miesięcy nigdy nie odchodziła od jej boku.

Uświadomiła sobie nagle obecność kilku kolejnych marsjańskich głosów i bardzo jasne światła. Ze znużeniem otworzyła oczy i stwierdziła, że znajduje się w izbie porodowej, a jej łóżko właśnie dopychane jest do powierzchni stołu zabiegowego. W pobliżu stali marsjańscy rodzice rosnącego w niej płodu… ich dziwne żółto-wilcze oczy świeciły w ciemnościach.

Później poczuła na sobie dotyk dłoni terrańskich pielęgniarek, przenoszących ją na stół zabiegowy. Dziewczyna stojąca za jej głową, próbowała podłożyć ręce, żeby chwycić ją pod ramiona, i otrzymała surową reprymendę, od nerwowego marsjańskiego lekarza.

– Zginiesz powolną śmiercią w płomieniach, jeśli zrobisz jej najmniejszą krzywdę – zawołał swoim wysokim, jękliwym głosem.

– Nic jej nie będzie – odparła pielęgniarka, z nieoczekiwaną pewnością, jak na Terrankę, odpowiadającą Marsjaninowi.

Pielęgniarka mocno się nachyliła i wyszeptała cicho do ucha Jean:

– Nie bój się, dziecko. Wszystko będzie w porządku. Kolejna grupa martwych, zupełnie zdeformowanych potomków, naszych gorliwych „oswobodzicieli” z Marsa.

Jean błyskawicznie przeszła w stan czujności, pomimo nieznośnego bólu.

Terrańska pielęgniarka uśmiechnęła się. Ponurym, tryumfalnym uśmiechem.

– Różyczka – wyszeptała. – Osiemdziesiąt procent ziemskich kobiet, które ją złapały w okresie od trzeciego do piątego miesiąca ciąży rodziła dzieci z jakimiś defektami lub deformacjami. Głuche niemowy, idiotów z mongolizmem, albo niewidomych. W przypadku delikatnego potomstwa Marsjan, odsetek ten wynosi sto procent. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy, nie urodziło się żadne normalne marsjańskie dziecko.

Jean przypomniała sobie, jak sześć miesięcy temu, miała lekką gorączkę i rumienie na skórze! Choroba była zbyt łagodna, aby zauważyli ją Marsjanie i minęła tak szybko, że nawet się nie poskarżyła. Największa obawa prześladująca kobiety w ciąży, teraz stała się ich wybawieniem! To był dopiero początek. Ale Terra będzie wolna.

KONIEC